

Groteska i diagnoza. Diagnoza I...?



JULIUSZ TYSZCZA

Profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor habilitowany. Teatrológ.

Lubie to! 77



Fot. Dawid Stube

Spowiedź masochisty, dramat czeskiego autora Romana Sikory, opublikowany w „Dialogu” latem 2013 roku, nie cieszył się jak dotąd wielkim powodzeniem w polskich teatrach. Intuicja starego teatromana podpowiadała mi, że za ten tekst weźmie się najpierw jakiś zespół z grona teatralnej alternatywy, torując mu drogę na sceny bardziej instytucjonalne. (Tak, tak, wracają lata sześćdziesiąte teatru studenckiego).

Okrutnie trzeźwa analiza otaczającego nas, gniozącego nas, wykańczającego nas świata zawarta w tej arcyprzewrotnej sztuce aż się prosiła o

niekonwencjonalne zaprojektowanie scenicznej przestrzeni, także poprowadzenie aktorek i aktorów, no i przede wszystkim o zespół teatralny, któremu chodzi o coś znacznie więcej niż zarobkowanie za pomocą grania, z frazesami o posłannictwie i powołaniu będącymi zawsze w pogotowiu, z tyłu głowy, na użytek spotkań z młodzieżą szkolną.

Gdy więc dowiedziałem się o tym, że premiera *Spowiedzi masochisty* odbędzie się tuż przed Bożym Narodzeniem 2014 w Teatrze im. Fredry w Gnieźnie, ogarnęło mnie lekkie (a być może nawet i ciężkie) zdziwienie. Szybka kwerenda internetowa pozwoliła mi jednak odkryć, że równo tydzień przed premierą gnieźnieńską inscenizację dramatu Sikory zaprezentuje Teatr Brama z Goleniowa – jeden z najciekawszych obecnie polskich zespołów teatru alternatywnego (czyli w sumie remis, z delikatnym wskazaniem na alternatywę). Na reklamowej zajawce Teatru Brama zobaczyłem niemal wszystko, czego oczekiwałem – scenę otoczoną z trzech stron półprzezroczystą folią i młodych (na ogół) ludzi wykrzykujących światu w twarz oskarżenie o nieładność, ale nie wprost, lecz za pomocą zgrabnie zaprojektowanej przez dramaturga oraz reżysera Daniela Facewicza konwencji gry, która wsparta była na grotesce oraz ironii. Tyle że główną rolę Pana M. grał tam Paweł Niczewski, od wielu lat aktor Teatru Współczesnego w Szczecinie oraz offowego Teatru Krypta.

Tak, tak. Mamy teraz epokę przenikania, przekraczania, wykraczania, naruszania, zacierania, w której nie ma co się przywiązywać do ścisłych definicji, wyznaczać pojęciowych granic, mnożyć kategorie... I tak dalej, i tak dalej. Wróćmy do polskich realizacji tekstu Sikory: otóż ciekaw byłbym, jak poradzili sobie z nim gnieźnieńscy realizatorzy, a ciekawość moja wzrosła, gdy wyczytałem w zapowiedziach, że reżyserka spektaklu i jego scenografią przybyli z dalekiej Brazylii. Ich współpraca z Teatrem im. Fredry to pokłosie projektu *Budzik kulturalny*, realizowanego przez Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego. W jego ramach z wizytą studyjną do Gniezna przybyła grupa brazylijskich kuratorów sztuki. Dyrektorka gnieźnieńskiego teatru Joanna Nowak wyraziła żywe zainteresowanie współpracą z ludźmi sceny zza Oceanu, w związku z czym kuratorzy zorganizowali jej kontakt ze szkołą teatralną o dźwięcznej nazwie São Paulo Escola de Teatro, Centro de Formação das Artes do Palco. Tamtejsi artyści otrzymali materiał do przerobienia w postaci tekstu dramatu Sikory i zadanie opracowania jednej ze scen. Wylonili się trzy zespoły reżysersko-scenograficzne, które w ramach współpracy z młodymi adeptami i adeptkami aktorstwa z Escola de Teatro przygotowały inscenizację wybranych przez siebie fragmentów dramatu i przysłały do Gniezna ich filmowe zapisy. Na tej podstawie wybrano reżyserkę Aline Negra Silva (Murzyńska, 29 lat) i scenografa oraz projektanta kostiumów Felipe de Oliveira (biały, 27 lat). Oboje zostali włączeni w rozwijany w Gnieźnie program rezydencji artystycznej, który w tym roku skupiony jest na motywie zatytułowanym *Niewidzialni* (niepotrzebni, samotni, wycofani, dysfunkcyjni). No i zaczęła się fascynująca międzykulturowa przygoda – spotkanie dwójga młodych Brazylijczyków z czeskim dramatem i polskim zespołem.

Bardzo było mi ciekaw jej efektu i – przyznam od razu – nie zawiodłem się. Gdy wprowadzono widzów z foyer bezpośrednio na scenę i usadzono na dwóch rzędach siedzeń bez oparcia, ułożonych w trzy boki prostokąta naprzeciwko wielkiego ekranu, który ów prostokąt zamykał, poczułem się jak na dawnych Konfrontacjach Młodego Teatru w Lublinie z lat 70. albo na Łódzkich Spotkaniach Teatralnych z lat 90. „No – pomyślałem sobie – zapewne Brazylijczycy (podobnie jak wielu młodych reżyserów w Polsce) jeszcze nie wiedzą, że takie rozprężanie przestrzeni scenicznej nie stanowią u nas szokującej nowości. Zobaczymy, co z tą przestrzenią zrobią, czy sensownie wykorzystają jej niebagatelne możliwości, które skrzą się bogactwem rozwiązań, stawiają jednak duże wymagania aktorom, zwłaszcza takim, którzy są przyzwyczajeni do grania poprzez front sceny i nie wiedzą za bardzo, jak grać wobec widzów obserwujących ich poczynania z boku lub wręcz z tyłu-boku”.

Wątpliwości te zostały szybko rozwiane. Aktorzy, pewnie prowadzeni przez brazylijską reżyserkę, świetnie sobie radzili w tych trudnych, niekonwencjonalnych warunkach, a ich zaangażowanie, fizyczna kondycja, umiejętność połączenia intensywnej gry ciałem z wypowiedzianym tekstem, a także gotowość do poświęceń na rzecz wzmocnienia ideowej wymowy spektaklu były bardzo „alternatywne”. Gdy na koniec spoceni, zzieleni, niemożliwie utyłani kłaniali się, stojąc na wyspanej podczas przedstawienia grubej warstwie użyźniającego podłoża (ziemia plus kawałki stomy), i z zadowoleniem słuchali długich, intensywnych oklasków, pomyślałem, że jednak to przenikanie, przekraczanie, wykraczanie, naruszanie i zacieranie daje czasem dobre efekty. A przekonał mnie w Gnieźnie do tego nie tylko fakt, że aktorki i aktorzy dali z siebie wszystko, lecz także i przeświadczenie, iż uczynili to mądrze i z sensem.

Główny ciężar przekonania o tym widzów spadł w trakcie trwania spektaklu na aktora Teatru Polskiego w Poznaniu, Piotra Kaźmierczaka, który gościnnie wystąpił w bardzo trudnej, lecz dającej niesamowite możliwości roli Pana M. Gdy na zamykającym prostokąt sceno-widowni ekranie wyświetliła się zaraz na początku jego wielka twarz, widać było gołym okiem, że dziś Panem Masochistą będzie „swój chłop”, który mógłby być i Szwajkiem, i Piszczakiem, i XX z *Emigrantów* Mrożka, i Bohaterem z Różewiczowskiej *Kartateki*. Kaźmierczak potrafi zmiąć swoją twarz w dowolnym grymasie, zmusić swe masywne nogi do kłusa i galopu, wyginać smiało ciało w tańcach-łamańcach i bez żenady wypinać tylek w oczekiwaniu na rozkoszne ciosy szpicruty. Obserwując jego aktorski popis w roli Pana M., nabrałem przekonania, że zagra nawet przysłowiowe zsiadłe mleko, pokazując jeszcze na bis, jak ładnie i szybko się ono zsiada. I że nie jest tylko sprawnym komikiem o rozciągliwej twarzy, bo potrafi także udźwignąć wielką rolę tragikomiczną.

Partnerują mu tylko cztery osoby, a każda z nich wciela się w co najmniej dwie sceniczne postaci. Trudno tu kogoś wyróżnić, bo zarówno Katarzyna Czubkówna (Domina, Laura, Policjantka, Przewodnicząca), jak i Anna Pijanowska (Janinka, Sprzedawczyni) oraz Maciej Hązła (Antropomorficzny Koń, Franek, Skinhead II, Randeep Ramesh, Wolf Blitzler) i Wojciech Kalinowski (Robert, Policjant, Skinhead I, Męczyzna w masce) dali z siebie wszystko, a być może nawet i więcej. Specjalnie wyliczyłem grane przez nich mnogie postaci, by choć w części pokazać ogrom ich wysiłku oraz skalę zadań aktorskich, jakie przed nimi postawiono. Byli plastyczni, dynamiczni, kiedy trzeba liryczni, ale na ogół beztłośni i cyniczni – w tę stronę wiódł ich tekst i jego reżyserskie opracowanie.

Na gnieźnieńskiej scenie w tej brawurowej inscenizacji arcydziełnego dramatu Sikory rządzi bowiem niepodzielnie Groteska o straszliwym, gargantuicznym, nieludzkim wymiarze. Gdy już przyzwyczaiłem się przez chwilę do perwersyjnego wydźwięku zwierzeń masochisty, okazuje się nagle, że nie może on zasnąć spełnienia w swym pragnieniu bólu, bo jego prawo do bycia ofiarą musi wejść w układy z prawami człowieka i obywatela. I tak musi być, tak musi się dziać nawet we wstydlivych przybytkach nieczystej, zboczonej rozkoszy, które owszem, są wstydlive, lecz zarazem legalne, więc ich właściciele i nadzorczy muszą zadbać o prawa klienta i o jego bezpieczeństwo. Gdy okazuje się, że cała wersyjowa praktyka sado-maso (z angielska BDSM), zanim się rozpocznie, musi zostać uregulowana przez prawno-biurokratyczne procedury, „opadają ręce i nie tylko”. W ten sposób przemoc uregulowań rządzących oficjalnym nurtem życia w liberalnym kapitalizmie zaczyna dominować nad przemocą seksualną – dawniej zakazaną, teraz zalegalizowaną, ale za cenę podległości wobec prawa i biurokracji, która podąża za krok w krok za paragrafami. Rozkoszne podniecenie, płynące także ze świadomości uprawiania praktyk nieakceptowanych i zakazanych, ustępuje miejsca nudzie towarzyszącej zawsze i wszędzie wypełnianiu różnych idiotycznych formularzy. Trudno: „zbochol” to też obywatel, więc niech się wynudzi, zanim „pozbocholi”. I czar pryska.

Kaźmierski jest tu bardzo przekonującym „zbokiem-masochistą”, a jego szczerzy, szeroki uśmiech, wyrażający niebiańską rozkosz na sam widok szpicruty, jego ekstatyczne westchnienia na widok samych tylko drgnień narzędzia chłosty poruszanego władczą ręką Dminy, przekonująco budując występny obraz tej dziwnej, skrajnie „pokręconej” postaci.

Ale najlepsze dopiero przed nami, bo oto Sikora precyzyjnie snuje i uzasadnia swój oryginalny wywód, z którego my sami musimy wyciągnąć oczywisty wniosek: nadchodzi epoka masochistów – tylko oni są w stanie sprostać wymogom, jakie stawia się pracownikom i pracownikom zatrudnianym w korporacjach, wielkich sieciach sklepów oraz innych przybytkach wzmożonej kreatywności, dysponowania zasobami (w tym zwłaszcza ludzkimi), planowania, produkcji oraz konsumpcji w naszym najlepszym z ustrojów, dla którego nie ma alternatywy, bo nic lepszego ponoć nie wymyślono.

Najcudowniejszym wypadem tu oczywiście seria scen prezentujących singapurskie zawody „wzorowych pracowników”, zwane oficjalnie Olimpiadą Zasobów Ludzkich, przekształcone przy pomocy szarobocznego mediów w „reality show świata”, które obserwowane jest w napięciu przez „narody całe przed telewizorami”: pospiesznie snuta przez Pana M. narracja – coraz bardziej zdyszana, zagalopowana, zakłusowana w swym przeciągłym *crescendo* – odgrywana jest dynamicznie przez niego samego w towarzystwie partnerów i partnerki. Oprócz głównego bohatera najbardziej poszkodowany jest w tych zawodach jego główny rywal – „maly i zylasty Chińczyk, napędzany wiarą w Partię i wielkie Chiny”, którego gra Anna Pijanowska.

Najmieszniejsza, najtragiczniejsza i najbardziej zapadająca w pamięć jest tu scena „likwidacji odpadów toksycznych” – bez narzędzi, bo „drogie są. A pracodawca biedny jest. Bo kryzys przecież. Bezciek po prostu postawili. Przede mną. Dym jeszcze szedł. Z tego. I bulgotało. I »likwidujcie« mówią. [...] No to żreć zacząłem to. Chłać. [...] No i oczywiście mierzyli [...] to, co wylatuje. Z nas wylatuje, górą i dołem. [...] Czy te gówna to już mało toksyczne są. [...] Było neutralizowane. Ja i Chińczyk neutralizowaliśmy. Inni nie neutralizowali”.

Inni współzawodnicy nie sprostali zadaniu, bo „ich to zeżarło. Na paćkę” – po prostu się rozpuścili. „Zasoby ludzkie” zostały uszczuplone o reprezentantów m.in. Rosji i Rumunii, lecz „reality show świata” trwało nadal, z masochistą i totalitarnym, opętanym ideologią wariatem – jedynymi, którzy byli w stanie wytrzymać gargantuiczną groźbę „olimpiady”.

Podczas „likwidacji odpadów toksycznych” na scenie panował mrok, a z podświetlonych od środka beczek, które postawiono przed Panem M. i Chińczykiem, sugestywnie, powoli wydobywał się „trujący dym”. Słychać zaś było, oprócz zachwyconego głosu herosa pracy, ciamkanie i mlaskanie (też bardzo sugestywne). Śmiałyśmy się chyba wszyscy, smakując masochistycznie absurdalność „reality show świata”. Dopiero potem przyszły błędzące już tu i ówdzie po głowie myśli o pampersach dla kasjerek w sklepach wielkopowierzchniowych, o normach śrubowanych niczym za najlepszych stalinowskich czasów przez „awangardę zasobów ludzkich”, o codziennych dawkach grozy i upokorzenia, jakich doświadczają zwykli, normalni ludzie – bynajmniej (niestety?) nie masochiści – w swych normalnych (?), codziennych miejscach pracy. Spotykamy ich na co dzień, ignorując możliwość wiedzy o tym, czego doświadczają. Dlaczego to robimy?

A co oni czują? Dlaczego odsuwają się gorzkie poczucie upodlenia? Czemu godzą się na udział w codziennej, nieludzkiej „olimpiadzie zasobów ludzkich”, rozpętanej na globalną skalę? Czy naprawdę trzeba być masochistą, żeby to przez dłuższy czas wytrzymać i nie „rozpuścić się na paćkę”?

”
Groteskowa Spowiedź... w gnieźnieńskim Teatrze im. Fredry nie daje odpowiedzi na te pytania.

Groteskowa *Spowiedź...* w gnieźnieńskim Teatrze im. Fredry nie daje odpowiedzi na te pytania. Kto mądry albo nawet niekoniecznie mądry, ale w miarę trzeźwy i moralnie poukładany, ten zrozumie autentyczny tragizm i uniwersalność problemów, które w komiczno-gargantuicznej formie stawia przed nami dramaturg Sikory, świetnie, z nerwem zrealizowany przez brazylijsko-polski zespół.

Tak, problem wyjścia szczerów, czyli globalnej Olimpiady Zasobów Ludzkich zostały przed nami rzetelnie postawione w formie rewelacyjnego, prostego, sugestywnie odegranego odkrycia: żeby w tej Olimpiadzie skutecznie uczestniczyć, trzeba być po prostu autentycznym, niepodrobionym masochistą! Pora teraz na próbę pogłębienia problemu, wyciągnięcia wniosków z tego epokowego odkrycia. Kto spróbuje odpowiedzieć na pytania, dlaczego miliardy ludzi dobrowolnie biorą udział w tej „olimpiadzie”? Co nimi kieruje? Czy tylko po prostu instynkt przetrwania? Czy może jeszcze potrzeba chorej, ale jednak jakiejś tam stabilizacji? Dlaczego skłonni są masochistycznie poddać się procedurom i regulacjom, które uwalniają ich ludzkiej godności, a także naruszają prawa człowieka i narzucają im się przemocą, najciężej wbrew prawu? Czemu zapominają o swym niezbywalnym prawie do ludzkiego traktowania?

Niby wiemy już coś o tym z opracowań psychologów społecznych dotyczących dysonansu między oczekiwaniami, relacji kat-ofiara, obozów koncentracyjnych, totalitarnego „ubezwłasnomysłenia”. Pisali o tym ciekawe, wielotomowe książki oraz przenikliwe eseje filozoficzne, pisarze, publicyści. Ale czy w teatrze – ponoć najbardziej sugestywnej i bezpośredniej ze sztuk – te pytania zostały już jasno i bezkompromisowo postawione? Może gdzieś, kiedyś, niedawno już tak?... Parę lat temu doświadczyłem na własnej skórze jako widz-uczestnik zmyślnie zaplanowanego procesu łagodniutkiego, acz bezlitosnego zniewolenia w spektaklu-akcji pt. *Nauka latania* alternatywnego Teatru Strefa Cizy. Ale tamte opresyjne praktyki nawiązywały raczej do zniewolenia narzucanego nam przez *show business*. Więc chciałbym jako widz doświadczyć jeszcze czegoś innego – przenikliwej, miążdżącej tragedii dziejącej się na linii ognia między pracownikiem a pracodawcą, dającej wgnęwaną ludzką duszę. Zeżartą. Na paćkę.

Może dane mi to będzie akurat przeżyć na widowni w Gnieźnie? *Spowiedź masochisty* daje taką, rzetelnie umotywowaną nadzieję.

2-01-2015

GALERIA ZDJĘĆ

SPOWIEDŹ MASOCHISTY, REŻ. ALINE NEGRA SILVA, TEATR IM. A. FREDRY W GNIEŹNIE



ZOBACZ WIĘCEJ

Teatr im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie
Roman Sikora
Spowiedź masochisty
scenariusz: Małgorzata Sikorska-Miszczuk, Elżbieta Zinna
reżyseria: Aline Negra Silva
scenografia i kostiumy: Felipe de Oliveira
muzyka: Maciej Szymborski
obsada: Piotr Kaźmierczak, Katarzyna Czubkówna, Anna Pijanowska, Maciej Hązła, Wojciech Kalinowski
premiera: 19.12.2014

TAGI: Roman Sikora, Aline Negra Silva, Felipe de Oliveira, Maciej Szymborski, Gniezno, Teatr im. Aleksandra Fredry.

Udostępnij

Lubie to! 77

SKOMENTUJ

Autor: lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

siedem minus cztery jako liczbę:



KOMENTARZE (2)

Przecinek | 2015-01-03 17:44:50 # Cytuj

lucjan.cehl.napisal(a):

”

„Nauka latania” to Teatr Usta-Usta. LŚ

Nie. Nauka latania to z całą pewnością Strefa Cizy, spektakl zrobiony z okazji Czerwca 56.

lucjan.cehl | 2015-01-02 22:39:35 # Cytuj

”Nauka latania” to Teatr Usta-Usta. LŚ